

RYSZARD ZENGEL

# Dwie kartki z dziennika

## albo

# „Nasz klient nasz pan”

Wtorek wieczór  
23 czerwca.

**W**ejściówek dla recenzentów nie wydaje się. Była premiera prasowa, zaproszenia rozesłano: „Nie nasza wina, że wędrują one do niewłaściwych rąk” — rzucił wyniośle i przenikliwie starszy pan, ważniejszy od kasjera. Przenikliwie, bo rozszyfrował zapewne w tej złośliwej opinii nadużycia redakcyjną z zaproszeniami. I to dokąd! Na premierę Teatru Satyrycznego „Buffo”. Tak pod znakiem Wielkiego Komercjalizmu i Rentowności wkroczyłem dzisiaj wieczoru na ostatni program „Buffo” — „Zawrądzmy supelek”. Obsesyjność tytułów poszczególnych skeczów nie dziwiła już mnie wcale. Oto one: „Sprzedaję wspomnienia”, „Nasz klient, nasz pan”! „Niech pan mnie weźmie!” (sugestywna i nachalna autoklamera), „System!”.

Zaraz w pierwszym punkcie programu — „Wiosna się budzi” obok pozytywnego młodego bohatera — On, i pozytywnych bohaterki — One (a było ich sześć), na scenę wkracza przekomiczny Pan w płaszczu, śmieśzny, pokraczny starzec, który coś mamrocze pod nosem, a potem odczytuje z akt „że satyra umiera, aż wstyd”. I za te pesymistyczne, kassandryczne i obraźliwe prawdziwe słowa może pozostać tylko żalonym bohaterem negatywnym, któremu zresztą pod koniec skeczu wspomniane już grono bohaterów pozytywnych wyśpiewa beztrósko i usprawniającą prosto w nos: „To ta wiosna, wiosna, trzeba przyjąć ten fakt, a satyrę odłożyć do akt”. Pod tym więc hasłem o wiosnie i nieuchronnie z tą porą roku związaną vegetacją satyry toczy się cały ten spektakl. Bardzo sennie, wśród — zrozumiałych w tej sytuacji — żenująco słabych tekstów (są to najgorsi Gozdawa i Stępień i Żywulska jakich znam) i wśród popisów sztucznych, bez wdzięku, urody, a już przede wszystkim talentu jakichś paru górk o bardzo luźnym ścieku. Z tego stanu ospałości i smutnej kontemplacji nie była mnie w stanie wyrwać nawet dopingująca wypowiedź „Ballady o odznaczony” w rzeczywiście świetnym wykonaniu Hanny Bielickiej. Konferansjer zapewnił, że będzie to arcydzieło politycznej satyry i politycznej odwagi. Że będzie to bezczelność, tupet i odkrywczność przewyższające nawet najbardziej prywatne dowcipy z kuźni politycznego żartu i drwiny — warszawskiej Kawatarni i warszawskiej ulicy. Po czym Gozdawa i Stępień w swej „balladzie” poinformowali nas, że był straszny „okres błędów i wypaczeń”.

Wśród tych tandetnych tekstów, dowcipów, gagów nawet rutynowani i wybitni aktorzy estradowi, jak

Stefania Górską i Ludwik Sempoliński byli bardzo nieciekawi, byli chwilami parodią samych siebie. Nie wyszła Sempolińskiemu sentymentalna piosenka o „Charlim” ani obrazek satyryczny „Cyklista”. Jedynie wzruszył „Kropelką wspomnień” z tamtych dawnych kabaretowych czasów swojej młodości, w której to epoce przechowało się jeszcze wiele z wytworności i kokieterii fin de siècle'u. Pokazał pewien styl gestu, ruchu, mimiki, który, będąc już bardzo klasycznym i estradowym, komediowym anachronizmem na tle plaskiej szmiry całego spektaklu, olśniewał swoją kulturą. Okazuje się, że zawodowe sceny komediowe i estradowe, nie umiając wysunąć jakiegś nowoczesniejszej formuły, propozycji repertuaru i aktorstwa satyryczno - komediowego, bliskiej wrażliwości współczesnego widza, nie potrafią również wybrać tradycji, uchwycić choćby przebrzmiały już, ale przecież jakże performatywny i wykończony styl estradowy, nie potrafią nawet twórczo zasymilować „klasyki” naszego kabaretu. Nie posiadają świadomości i wiedzy tego stylu, nie posiadają więc też i umiejętności stylizacji.

I być może zrezygnowany i ostepialy opuściłbym gościnne mury tego satyrycznego przybytku, gdyby nie otwierający drugą część programu tekst Jerzego Jurandota pt. „Na malej stacyjce”, który przeczy już najbardziej liberalnej etyce i przyzwyczajeniom. Dokonuje się tu jakichś bezwzględnych demaskacji „nowoczesnej poezji” i gloryfikuje ustami uwarżliwionego kelnera, jeszcze z przedwojennej Ziemiańskiej, nienajczystszy liryk sentymentalny Tuwima. Abstrahując od tego, że sparodiowanie tekstu współczesnej poezji jest rzeczą dość łatwą i naiwną, to muszę p. Jurandota zmartwić, że jego parodyczna fraza: „Pod szlabanami pączkujemy przeżytą trawą epoki” nie jest taka bezsensowna i świetnie zamyka istotę satyry, którą p. Jurandot na scenie „Buffo” i „Syreny” uprawia, jak również jego dowcipni towarzysze. Tylko, niestety, szlabany na ten typ humoru i dowcipu są za często otwarte.

Niesmak budzi przede wszystkim to, że autor tego skeczu świetnie utwierdza w widzu, w odbiorcy swojej produkcji satyrycznej — Odwiedzanego Koltuna i wygrywa na najsmutniejszych i najprymitywniejszych jego instynktach.

Czwartek wieczór  
25 czerwca.

Zaczyna się „Mąż Foltasiówny” jako komedia muzyczna — uwertura. Uwertura łączy w sobie tony jazzu i wiedeńskiego walca. Tak, aby nikogo nie zrazić, każdego zadowolić, wszystkich pogodzić. Starszych i młodych, sentymentalnych i cynicznych, apolitycznych i politycznych, sceptyków i entuzjastów. To

już nie tylko właściwość wspomnianej uwertury, ale całej jurandotowskiej komedii, całego współczesnego repertuaru zawodowych teatrów satyrycznych. W każdym programie powinien znajdować się dowcip z morałem i scenka niemoralna, szczypta streap-tease'u i szczypta polityki, piosenka radosna, optymistyczna i trochę narzekań. Ta chęć zadowolenia wszystkich decyduje o niejakości tych programów, tych sztuk, tych teatrów. O tym, że nie mają one określonego stylu, określonego profilu, określonej pozycji. A poza tym jednego gatunku widza nie starano się tu nigdy zadowolić — widza wymagającego.

Ale wróćmy do samej komedii. Po uwerturze, toczy się jej akcja łatwiutka i nieskomplikowana, rzeczywiście bez żadnych większych pretensji. Istota komediowego konfliktu, spięcia tkwi w krańcowo różnych profesjach dwojga małżonków: on — sławny muzyk, ona — sławna sportsmenka. Jej sława jest jednak szersza, bardziej żywiołowa i masowa; jego — elitarna i skromna. Wielki muzyk, laureat międzynarodowego konkursu, egzystuje jedynie dla świata jako mąż Foltasiówny (panieńskie nazwisko utalentowanej sprinterki). Następuje kłótnia i rozstanie, ale wszystko kończy się happy-endem, bo tak naprawdę to sportsmenka kocha swego artystę, a artysta swoją sportsmenkę. I tak naprawdę — to artysta budzi uprzedzie szacunek i sympatię, ale pretensje ma zbyt wygórowane. Obiektywnie rzecz biorąc na popularność szybknogiej Foltasiówny nie zasługuje. Bądźmy realistami! Sportowi działacze i sportowi kibice śpiewają na scenie nieustający refren: „Sport, sport, sport to masy! Sport, sport, sport to kaśy!!!”. I jest to na pewno decydujący argument na rzecz sportu.

Po spędzeniu tego drugiego wieczoru w satyrycznym kombinacie teatralnym: „Syreny” i „Buffo”, śpiesznie wróciłem do domu, aby odnotować w swoim Dzienniku fakt tego oszałamiającego i imponującego businessu, jaki w powyższym kombinacie się uprawia. Zrobiłem to tym chętniej, że, jak dotąd, w Dzienniku tym odnotowywałem jedynie fakty natury artystycznej i ten interesujący przerywnik urozmaicił i odświeżył kompozycję mego Dziennika.

**Ryszard Zengel**

---

Teatr Satyryczny „Buffo”: Zawiażmy supełek. Program składany.  
Teatr „Syrena”: Mąż Foltasiówny. Komedia muzyczna Jerzego Jurandota.